Grzegorz Walczak

SŁOŃ

TEATR DRAMATYCZNY W ELBLĄGU

Dyrektor — kierownik artystyczny

JACEK GRUCA

Zastępca dyrektora

JERZY BANCERZ

Kierownik literacki

STANISŁAW FRANCZAK

Grzegorz Walczak

SOWY

(Sztuka „Sowy" Grzegorza Walczaka oparta na faktach opowiedzianych przez Krzysztofa Kąkolewskiego w reportażu „Niedługa i nieciekawa historia dwóch staruszek")

PRAPREMIERA: 6.1.1980 ROKU

OBSADA:

FELICJA

LUDMIŁA LEGUT

KAZIA

MARTA SOBOLEWSKA

BOLCIA

MARTA GREY

SŁUŻĄCA

WANDA OSTROWSKA-DOLEWSKA

INKASENT

ZBIGNIEW SAMOGRANICKI

Reżyseria:

ZBIGNIEW SAMOGRANICKI

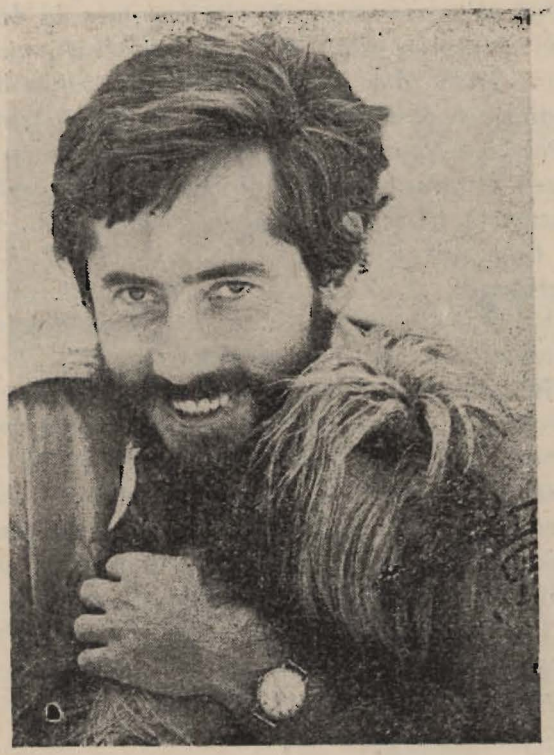

GRZEGORZ WALCZAK

Urodził się 5 lutego 1941 roku w Puławach. Żonaty (vide: „Pamiętnik małżeński"). Twórczość literacką rozpoczął jeszcze w okresie studenckim jako dostarczyciel tekstów dla Kabaretu Literackiego Uniwersytetu Warszawskiego, którego był założycielem i — w latach 1960-65 — głównym animatorem. Z tego okresu datuje się też współpraca Grzegorza Walczaka ze „Stodołą" i „Medykiem". W tym ostatnim klubie wystawia nagrodzoną sztukę poetycką „Cztery twarze młodości", jednocześnie

współpracuje z Polskim Radiem, tworząc liczne słuchowiska i audycje poetyckie, oparte na własnych tekstach.

Już wówczas narodziły się, trwające do dziś, jego zainteresowania tekstami piosenek, pisanymi zrazu dla kabaretów, potem także dla Radiowego Studia Piosenki, Telewizji Polskiej i Polskich Nagrań. Plonem wieloletniej współpracy autora z kompozytorami muzyki młodzieżowej i zespołami młodzieżowymi (m. in. K. Gaertner, J. Koman, M. Święcicki, Z. Namysłowski, A. Zieliński, P. Janczerski, „Ali-Babki", „Filipinki", „No to co?", „Skaldowie", „Niebiesko-Czarni", „Czerwono-Czarni", „Trubadurzy", „2+1") jest kilkanaście wydanych longplayów i mnóstwo mniejszych płyt z wieloma szlagierami młodzieżowymi. Warto tu choćby wspomnieć o pierwszej polskiej rock-operze „Naga" (libretto Grzegorz Walczak, wykonanie Stan Borys oraz „Niebiesko-Czarni"), której prapremiera odbyła się w 1973 r. w Teatrze Muzycznym w Gdyni. Za poetyckie teksty do piosenek Walczak był wielokrotnie nagradzany na czołowych festiwalach muzycznych w kraju.

Predylekcje autora do form muzycznych, coraz bardziej skomplikowanych, zaowocowały ostatnio dramatem „Pieśń o Antygonie" z muzyką światowej sławy kompozytora Paula Glassa (zapowiadana realizacja w Operze Wrocławskiej) oraz musicalem „Sobótka" przygotowywanym obecnie przez Warszawską Estradę.

Ważne miejsce w twórczości Grzegorza Walczaka zajmuje poezja (czego wyrazem jest m. in. piękny tomik „Witraże", LSW 1972), a także proza. Jego wspomniany już debiut powieściowy „Pamiętnik małżeński" („Czytelnik 1975) to jedna z najbardziej uroczych książek

z ostatnich lat, z dużym zainteresowaniem oczekujemy powieści „Oaza", która ukaże się w 1980 roku również nakładem „Czytelnika". Wiersze, opowiadania i eseje publikuje m. in. w „Miesięczniku Literackim", „Kulturze", „Życiu Literackim", „Nowym Wyrazie".

Jest Grzegorz Walczak także autorem groteski „Kaktus" (I nagroda w konkursie na sztukę teatralną redakcji „Sceny", 1972) i dramatu „Sowy", który na deskach Małej Sceny Teatru Dramatycznego w Elblągu doczekał się dziś prapremiery, stając się zarazem bezpośrednim powodem prezentacji sylwetki autora.

„Sowy" powstały w 1966 r. (a więc wcześniej niż „Non stop" Bordowicza: informację tę podajemy dla wszystkich, którzy mogą być zaskoczeni podobną tematyką obu sztuk).

Zaskoczenia natomiast nie powinien wywołać fakt, że na co dzień Grzegorz Walczak jest adiunktem w Instytucie Języka Polskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Całkiem serio: doktoryzował się w 1975 roku na podstawie pracy: „Klasyfikacja zdań złożonych w języku polskim", która ukaże się niebawem w „Ossolineum". Pomnoży ów tak rzadko spotykany, różnorodny dorobek twórczy...

Krzysztof Kąkolewski

NIEDŁUGA I NIECIEKAWA HISTORIA DWÓCH STARUSZEK

„Niczego się nie boję, bo mam 82 lata, więc powiem: tak, to prawda, że w styczniu 1945 roku z moją siostrą stryjeczną, niezamężną, liczącą podówczas bodaj lat 66, wiedząc, że do Krakowa wkraczają nie Amerykanie tylko Rosjanie postanowiłyśmy, że noga nasza nie postoi na zdobytej przez nich ziemi, że nigdy nie będziemy oglądać nowego ustroju i dokąd on będzie trwać nie wyjdziemy poza obręb mieszkania. Początkowo znajome odwiedzały nas często, z wiadomościami, zanosiło się na zmianę, na wojnę nawet, nie myślałyśmy, że to będzie tak długo. Dokąd miałyśmy pewne źródła i zasoby materialne, gosposia, która była u nas kilkanaście lat, załatwiała wszystko na zewnątrz. Ale w roku 1949 to nagle się urwało, gosposia powiedziała nam, że czasy nie sprzyjają, i zapowiedziała swoje odejście, zdradziła nas. Przedtem zniosła nam zapasy żywności na cały tydzień. Potem — według naszego planu — miała to przejąć nasza najlepsza przyjaciółka, która początkowo, kiedy wyrzekłyśmy się widzenia parku, teatru, ulicy, podtrzymywała nas na duchu, mówiła, że piękniejsze są wizje te, które tu powstają. Ale teraz powiedziała, że dalej to nie ma sensu, ludzie pracują, wszystko normalnie się toczy. Leosia krzyknęła, kazała jej wyjść i więcej się nie zjawiać. Ubłagałyśmy sąsiadkę, zrobiła nam zakupy, liczyłyśmy, że gosposia wróci, że choćby zajdzie. Niewdzięczna, nie zjawiła się. Zaczęłyśmy głodować. Leosia z osłabienia położyła się do łóżka, trzeba było lekarza. Sąsiadka nie chciała ani iść po zakupy, ani nic pożyczyć, ale żeby nie odmówić, przyniosła cztery grube pajdy chleba posmarowanego smalcem i w końcu poszła do lekarza. Tego od razu coś tknęło, zaczął sie przyglądać mnie i Leośce: „jakby panie żyły w piwnicy" — powiedział. Przeraziłam się, że on może coś wykryć i mogą nas wsadzić do więzienia. Myśmy czasem zasłaniały okna i zamykały, kiedy był pochód, czy głośniki lub gdy zbyt wielu wojskowych kręciło się po ulicy, ale kiedy słońce zaglądało w okno, ja siadywałam w fotelu, ale Leośka ganiła mnie. Powiedziała, że nie ufa lekarzowi i żeby więcej go nie wzywać.

Zjadłyśmy, dzieląc chyba na dwadzieścia kawałków, chleb od sąsiadki i tak przeżyłyśmy dwa dni. Miałyśmy już tylko żelazną porcję: kawałek słoniny wędzonej; cięłyśmy ją na paseczki i jak jacy Indianie, jadłyśmy. Nie miałyśmy też ani herbaty, ani cukru. Znalazłam starą puszkę po landrynkach. Zalałam ją wrzątkiem i to piłyśmy. Potem już tylko gorącą wodę. Zjadłyśmy skórę od słoniny. Zaczął się głód. Drugiego dnia Leośka jeszcze wierzyła, że ktoś przyjdzie: gosposia, sąsiadka, czy tamta przyjaciółka. Minął dzień: Leosi jakby się pogorszyło, była bardzo głodna i zaczęła niepokoić się o swoje zdrowie. Recepta, którą zapisał lekarz (nie rozpoznawszy zresztą choroby) ciągle nie była zrealizowana. Jeszcze raz poszłam do sąsiadki. Otworzyła dorosła córka i zobaczywszy mnie, natychmiast zatrzasnęła drzwi. Mimo to jeszcze dzwoniłam. Nikt nie otwierał. Z dozorczynią od dawna nie byłyśmy na najlepszej drodze. Włożyłam płaszcz i pierwszy raz od czterech lat przekroczyłam próg mieszkania. Zeszłam dwa piętra w dół. Dozorczyni zobaczywszy mnie — co nie mogłoby się zdarzyć przed wojną — zaczęła krzyczeć na mnie: „panie to jakieś wariatki, niech mi panie nie zawracają głowy".

Wróciłam na górę. Omówiłyśmy z Leosią sprawę samobójstwa. Ale tu wyszło coś, o czym jeszcze panu nie mówiłam: przez to niewychodzenie popadłyśmy w grzech śmiertelny. Nie chodziłyśmy ani do kościoła, ani do spowiedzi, ani do komunii. Posłałyśmy po księdza jeszcze w 1945 roku gosposię, niby do chorych. Przyszedł, ale kiedy podczas spowiedzi powiedziałyśmy, dlaczego nie wychodzimy, zląkł się i kiedy znowu wysłałyśmy gosposię, powiedział, że ksiądz wychodzi z Bogiem tylko do wiernych, którzy są chorzy, inni powinni sami przyjść do Boga. A gdyby do naszego śmiertelnego grzechu doszedł drugi: podniesienie ręki na siebie, czy Bóg wybaczyłby nam? Ja byłam za tym, że Bóg musiałby zrozumieć nasze intencje, ale Leośka mówiła, że są prawa boskie, których Bóg musi przestrzegać, skoro je ustanowił. Nie wiedziałyśmy też, jak to wykonać. Brzydziłyśmy się i bałyśmy się. Leośka, słaba, powiada: „Ty mi pomożesz".

Wtedy padło z mojej strony pierwszy raz, że wyjdę. Bałam się, nie chciałam tego, nie wiedziałam, jak będę się poruszać po ulicy. Najpierw obiecałyśmy sobie z Leośką, że na starość zaczniemy się gimnastykować, jak prawdziwi więzniowie, tylko dobrowolnie, że będziemy się przechadzać wzdłuż wolnej ściany pokoju, całe dnie, żeby ujść pięć kilometrów każda. Ale do tego nie doszło. Początkowo chodziłyśmy, chodząc przez pokój na ukos, plantami do rynku, ale potem męczyło nas to. Nie wiedziałam zbyt dobrze, co się dzieje, przyjaciółki podtrzymywały w nas wiarę, że jest strasznie, a gazety, jeśli nawet było w nie coś owinięte, jakieś jarzyny — paliłyśmy natychmiast. Radia właściwie nie wiedziałyśmy czy wolno mieć. Starałyśmy się nikomu nie otwierać, inkasentowi wystawiało się kartkę ze stanem licznika. Jacy teraz są ludzie? Jak ja będę wyglądać?

Jacy byli — pyta pan? Czy ja wiem, bałam się jednak jakiejś łapanki czy aresztowania, ale to pamiętam: ludzie odmłodnieli przez te lata, wszyscy byli o tyle młodsi, ich twarze były piękne i bardzo różnorodne, nieraz aż zadziwiały. Chodzili bardzo szybko, było ich bardzo dużo.

W połowie 1950 roku nasze zasoby wyczerpały się ostatecznie i jednocześnie wstrzymano paczki z zagranicy. Powstała możność wystarania się o rentę, ale Leosia, ciągle chora, zabroniła mi kategorycznie starać się nie tylko dla siebie, ale i dla mnie. Ja jednak sfałszowałam jej podpis i weszłam w zmowę z listonoszem; on w tajemnicy przed Leosią wręczał mi obie renty, które w zupełnej ciszy kwitowałam, bo Leosia słuchała. Leosia nienawidziła tego listonosza, chodził w mundurze i Leosia twierdziła, że to mundur policji. Policjanta nie widziała od 1945 roku, milicji nie widziała nigdy, ale twierdziła w żywe oczy, że ona wie lepiej niż ja, która wychodziłam i widywałam mundury.

„Czy tego, co przyniosłaś ze sklepu, nie dał ci rząd za darmo" — pytała. „Rząd nie daje nic za darmo" — mówiłam, ona śmiała się, początkowo tłumacząc mi, jak jest, a potem manifestacyjnie: że podejrzewa mnie o spisek z rządem. Leośka nie znała cen, ale wyczuła jakieś nieścisłości, jakieś oszustwo — a to były te renty, które ukrywałam przed nią. Zaczęła mnie indagować na temat moich kontaktów na zewnątrz, na temat tego, jak tam jest. Mówiłam, a ona na to, że ja kłamię, bo ona wie, jak jest naprawdę. Radia dalej nie miałyśmy, bo Leosia twierdziła, że nie wolno. Leosia opowiadała mi, że jest głód, obozy, rozstrzeliwania patriotów, wszystko to pamięta z okupacji i teraz z tamtych rzeczy tworzyła

nowy obraz, wymyślała jakieś przepisy, na przykład, że tramwajami wolno jeździć tylko zatrudnionym w przemyśle. Kiedy przyniosłam masło, poddała mnie przesłuchaniu: przecież masło jest dla zdrajców.

Zarzucała mi, że zdradziłam, bo jednak wyszłam i ciągle wychodzę. A jak ona mogłaby żyć? Ciągle podejrzewała mnie o zdradę, że donoszę, uspakajałam ją, że nie mam o czym: ona jest chora, a ja wychodzę.

Początkowo wydawało mi się, że to los sam, czysty przypadek, wybrał mnie — nie ją, żebym ja wychodziła, ona była chora. Teraz wiem: to ona tak zadecydowała, podzieliła role. Ja miałam teraz być jej sługą, karmić ją, wysadzać, podawać lekarstwa, a ona przejęła władzę nade mną, ona mnie pouczała, strofowała, mówiła jak jest naprawdę, co dzieje się na świecie, z którego ja przychodziłam. Teraz wiem, że nigdy tak nie myślała, że listonosz jest policjantem. Ona mówiła to, żeby mnie terroryzować, żeby przeciwdziałać „złym wpływom", miała swoje wyliczenie, że będę jej sługą „ludem" (używała tego określenia ironicznie) — a ona będzie moim panem. I to też wyczuła: że ją w końcu zdradzę; sama poddała mi to: „Ty się jeszcze z nimi przeciw mnie dogadasz".

Jej choroba właściwie nie ujawniała się, brakowało wyraźnej diagnozy. Ale ją drażniło moje pragnienie, żeby wyzdrowiała. Nie lubiła rozważań o wyzdrowieniu. Traktowała je jak zamach na swoją wolność, część otaczającego ją spisku. Długi czas nie było oznak polepszenia — ale i wyraźniejszych symptomów pogorszenia. Ale Leosia już nie wstawała nigdy. Nie nazwana choroba pochłaniała jej siły. Zrobiły się odleżyny, zaczęła przyjmować lekarzy, ale drażniło ją ich niezdecydowanie,

twierdziła, że to nie lekarze, że prawdziwi lekarze są aresztowani i wywiezieni. Patrzyła całymi godzinami w sufit, wychodziłam, zostawiając ją patrzącą w sufit, wracałam — jeszcze patrzyła".

(Sufit musiał kiedyś przeciekać, geografia plam konstruuje jakiś świat, który próbuję przerysować: góruje jeden kontynent o bardzo rozwiniętej linii brzegowej, drugi o wiele mniejszy ale przez to jednolity, w formie bryły, wydaje się mniejszy niż w istocie, jest nieco ciemniejszy i wyrasta z niego jeden długi, cienki półwysep w kształcie maczugi).

„Całe lata bałam się, że gdybym ją straciła, nasłano by mi lokatorów z kwaterunku, więc wyparliby mnie z kuchni i zawładnęliby mieszkaniem, ale w końcu pomyślałam: najgorszy lokator nie będzie mnie tak dręczył, poniżał, powiedziałem jej, żeby ją ostrzec: „tak, trzymam z reżimem". Reżim to była urzędniczka wydziału zdrowia, ale nigdy chyba nie wybaczę sobie, że wydałam ją w ręce tych... no, to byli pielęgniarze... I w niedługim czasie zmarła, Panie, świeć nad jej duszą... Niech Bóg mi wybaczy. I pana przepraszam, to nieciekawa historia. Może herbaty? To godziny, kiedy zajmuję kuchnię, sąsiedzi z drugiego pokoju są w pracy".

KRZYSZTOF KĄKOLEWSKI
Przedruk z książki „22 historie, które napisało życie" Iskry, W-wa 1967, s. 235-240.

Kierownictwo techniczne teatru:

Kierownik techniczny: Brygadier sceny:

Gerard Grabowski

Kierownicy pracowni:

krawieckiej damskiej: Lidia Grabowska, krawieckiej męskiej: Jan Gołębiewski, stolarskiej: Arkadiusz Bogdanowicz, malarskiej: Zygmunt Prończyk, tapicerskiej: Roman Matylewicz, akustycznej: Zbigniew Piotrzkowski, rekwizytorskiej: Maria Gajewska, fryzjerskiej: Janina Tomczak, garderobiane: Anna Bączkiewicz, Halina Gromska, główny elektryk: Jerzy Janczak

Kierownk Biura Obsługi Widzów:

WŁODZIMIERZ WIŚNIEWSKI

Zamówienia na bilety prosimy kierować na adres: Biuro Obsługi Widzów, Elbląg pl. K .Jagiellończyka i tel. 24-00. Biuro czynne codziennie oprócz niedziel i świąt w godz. od 10.00 do 14.00. Kasa Teatru czynna codziennie oprócz poniedziałków w godz. od 10.30 do 14.00 i od godz. 17.00 do 19.00. W niedziele od godz. 16.00 do 19.00

W y d a w c a :

TEATR DRAMATYCZNY W ELBLĄGU

Redakcja: Stanisław Franczak

Projekt okładki: Zbigniew Tomasz Szmurło

Redaktor techniczny: Antoni Lipski

Cena zł 6.—

GZP Elbląg 1598 U-2 800